

**Ludwik  
Wiśniewski OP**  
**CZARNE Z BIAŁYM**  
zapiski niepokorne

© Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin

Redakcja: Maciej Müller

Korekta: Strefa Słowa Małgorzata Sękalska, Katarzyna Onderka

Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

Projekt okładki: Emilia Pyza

Fotografia na okładce: Grażyna Makara

ISBN 978-83-277-2566-0

Za zgodą

Przełożonego Polskiej Prowincji Dominikanów,

Pawła Kozackiego OP, prowincjała,

Warszawa, 13 sierpnia 2020 r., Reg. Prow. 359/20.

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa: AMW • Wrocław

Publikację wydrukowano na papierze IGEPa super brite 80 g vol. 2.0  
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

# To jest chrześcijaństwo

„Nie myśl, a jeśli myślisz, nie pisz, jeśli piszesz, nie podpisuj, a jeśli podpiszesz, to się nie dziw”. Zaprzeczeniem tej drogiej wszystkim karierowiczom maksymy jest ojciec Ludwik Wiśniewski OP. Myśli nieustannie. Obserwuje świat wokół siebie, analizuje, wyciąga wnioski i... pisze. Fragmenty tych obserwacji i przemyśleń właśnie nam udostępnił w tej książce. Myśli, mówi, pisze, podpisuje i choć nieraz obrywa, się nie dziwi. 3 lipca 1996 pisał tak: „Ten mój quasi-dziennik pomyślany jest jako «rejestrator» wydarzeń, które akurat dostrzegłem i które wydały mi się ważne. Ale zazwyczaj wcześniej dostrzegły je różne media. Stąd powołuję się na dzienniki, pisma czy programy telewizyjne”. Rejestrator-dziennik to nie – jak często bywa z dziennikami – pospieszne, skrótowe notatki. Każdy zapis w „rejestratorze” to kunsztowny, dopracowany tekst, felieton, komentarz, mini-wykład. Każdy też jest zapisem wnikliwego przemyślenia. Aż nie chciało mi się wierzyć, że nie jest to zbiór tekstów na bieżąco już gdzieś publikowanych. Zadzwoiłem do ojca Ludwika. On zaś... nie był w stanie rozmawiać. Nawet przez telefon było słycać, że się dusi. Samotnie w swojej klasztornej celi zmagał się z atakiem duszności. Po kilku dniach poczuł się lepiej. Zapewnił wówczas, że teksty zawarte w tej książce nie były nigdzie drukowane. Owszem, myślał, że może kiedyś, ktoś, gdzieś ogłosi je drukiem. Ale pisał dla siebie, jak to się kiedyś mówiło, do szuflady.

Dominikanie w Polsce cieszą się opinią uczonych. Mamy w Polsce plejadę wybitnych dominikańskich teologów, filozofów, pisarzy. Najbardziej znani – ze zmarłych – to ojcowie Jacek Woroniecki i Albert Krąpiec. Wśród żyjących: teolog Domu Papieskiego Wojciech Giertych, Jacek Salij, Jan Andrzej Kłoczowski. Ojciec Ludwik nie uważa się za luminarza świętych nauk. 14 stycznia 2002 roku napisał: „Od czasu do czasu zbiera się we mnie żal, że nie dane mi było wejść głębiej w myśl niektórych fascynujących mnie filozofów. (...) Wykłady z filozofii mieliśmy, jako studenci, nędzne. Było nas młodych studentów dominikańskich dość sporo, ale zakon jakoś nie zadbał, abyśmy mieli profesorów na przyzwoitym poziomie. A potem utonąłem w duszpasterstwie. Gdybym miał ongiś świadomość taką, jaką mam dziś, to pewnie znalazłbym sposób na spełnienie swoich pragnień”. To westchnienie nad zmarnowaną szansą otwiera zresztą tekst świadczący o tym, że ojciec Ludwik jednak mierzy się z wielkimi filozofami. Tekst jest o Nietzschem (*Nietzsche i najlepsza częśćka*). Tak, lektura tych zapisków świadczy o tym, że fascynacja filozofią nigdy go nie opuściła. Na szczęście zakon nie wybrał dla niego drogi uczonego. Z pewnością byłby dobrym filozofem, ale nie byłby tym, kim jest dziś: mądrym mnichem, który długo pracując w wymagającym środowisku akademickim, nauczył się słuchać ludzi i mówić do nich ich językiem, a on nie zawsze jest językiem filozofów.

O czym więc rozmyśla ojciec Ludwik? Jakie sprawy przez tyle lat mobilizowały go do pisania? Innymi słowy: o czym jest ta książka? Jest o wszystkim, co zdaniem autora jest warte uwagi. To znaczy?... Odsyłam do spisu treści. W pierwszej chwili może

on budzić podejrzenie, że mimo podziału na tematyczne rozdziały to *cicer cum caule* – groch z kapustą. Otóż nie. Wszystkie teksty wiąże jeden zasadniczy temat: zderzenia chrześcijaństwa, zwłaszcza Kościoła katolickiego z konkretnym życiem. Wszystkie prawie teksty dotyczą żywotnych, ludzkich spraw, zwykle ostro dyskutowanych wtedy, gdy ojciec Ludwik spisywał swoje refleksje. Są więc i uwagi na temat pogromu kieleckiego i jest list do ojca Tadeusza Rydzyka, i stanowisko w debacie na temat „Okrągłego Stołu”, uwagi o stanie wojennym, refleksje o generale Jaruzelskim i o stosunku do byłych rządcach Polski z epoki PRL po jej upadku (tu się dostało biskupowi Orszulikowi za wypowiedź, w której ich wszystkich pakuje do jednego worka z napisem „zbóje”). Są tu dyskutowane wówczas w Polsce, a często i dziś sprawy, spory i pytania. Ojciec Ludwik, wolny człowiek, patrzy na świat w świetle Ewangelii. Prostota i mądrość starego księdza trafia do wielkich tego świata i do maluczkich.

Trudno nie zilustrować tego kilkoma przykładami. I tak 13 grudnia 1996 roku notatkę zatytułowaną *Profanacja* ojciec Ludwik rozpoczyna śmiałym stwierdzeniem: „Dochodzę do stanowczego wniosku, że część duchowieństwa polskiego oszalała. Niestety, wśród nich są także biskupi. W jednym z kościołów Poznania odbywają się adwentowe rekolekcje dla polskiej Solidarności, które prowadzi biskup Edward Frankowski. Radio Maryja (...) transmituje na całą Polskę i cały prawie świat jego konferencje. Biskup Frankowski to jeden z najbardziej zasłużonych księży w Polsce. Jego praca jako proboszcza w Stalowej Woli była bardzo odważna i znakomita”. I dalej, że niestety, rekolekcje biskupa są głoszone językiem nienawiści.

Rozczarowanie, rozżalenie i krzyk obawy, że „ten język rozleje się po całym polskim Kościele”...

Czytając te zapiski dzisiaj odkrywamy, że ojciec Ludwik, wnikliwy obserwator i myśliciel, spisujący w zaciszu klasztornej celi swoje przemyślenia, trafnie przewiduje przyszłość. W notatce z 22 marca 1998 roku zatytułowanej *Pomylić Kościół z państwem* napisze: „Kaczyński zadeklarował: »W centrum myślenia prawicowego w Polsce pozostaje stosunek do Kościoła. Za pomocą tego kryterium można odróżnić prawicę i lewicę«”. Komentarz ojca Ludwika: „Nie muszę chyba dodawać, że stanowisko Kaczyńskiego wydaje mi się niebezpieczne – można pomylić Kościół z państwem”.

Obok zwięzłych zapisków robionych na gorąco są w tej książce trzy teksty jakby innej kategorii. Pod datą 1 sierpnia 2001 roku ojciec Ludwik zapisał: „Mija dziesięć lat od czasu, kiedy przywiozłem do Krakowa dwa tysiące młodych ludzi z Leningradu – Sankt Petersburga [w latach 1990-1996 pracował w parafii św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Sankt Petersburgu] a później wędrowałem z nimi z Krakowa do Częstochowy. To była największa »awantura duszpasterska« w moim życiu. W swoich papierach odnalazłem szkice trzech konferencji, jakie wygłosiłem do moich Rosjan w trakcie pielgrzymki. Może warto je tutaj przywołać”. Te dziewięć stron konferencji (str. 372–381) a także następujące po nich teksty, aż do końca książki (na końcu jest mowa o nawracaniu-nienawracaniu Żydów) polecam tym, którzy szukają „strawy duchowej”. Już nie ma odniesień do bieżących wydarzeń czy publikacji, za to są po prostu rozważania o wierze.

Lektura zapisków ojca Ludwika jest jak rozmowa z mądrym księdzem. Skłania do myślenia o sprawach, o których czasem

wolimy nie myśleć. Autor często ogranicza się do stawiania pytań. Nie nokautuje miażdżącymi argumentami, nie moralizuje i – co może niejednego czytelnika zaskoczyć, a może nawet zgorszyć – nie reklamuje rzymskokatolickiego Kościoła. Do pielgrzymów z Leningradu, wśród których byli także ludzie nieochrzczeni, mówił w trzeciej konferencji: „chrzest nie tylko zanurza mnie w Panu Bogu, ale także włącza do Kościoła. Pan Bóg chce, żebyśmy razem, jak bracia i siostry, do Niego wędrowali i razem się zbawiali. Dlatego trzeba świadomie wybrać społeczność Kościoła, w którym otrzymam chrzest i którego będę członkiem. Jaki to powinien być Kościół? Prawosławny? Katolicki? Protestancki? Na to pytanie musi sobie odpowiedzieć każdy indywidualnie”.

Jeżeli nasz autor zdecydował się na umieszczenie swego rodzaju rachunku sumienia (*Podsumowanie komunizmu* 4–5 kwietnia 1998 roku), czy raczej wyliczenie czynów, które uważa za udział w złu systemu PRL-u, to dlatego, że ma nadzieję na nawrócenie grzeszników. Na zarzut, że taka nadzieja jest naiwnością, bo „byli aparatczycy przystroili się w piórka obrońców ojczyzny i przeobrazili w nauczycieli moralności publicznej” odpowiada: „Może i tak. Ale z tego, że taką mieliśmy nadzieję, nie można nikomu czynić wyrzutów. To jest chrześcijaństwo”.

Gdybym chciał w jednym zdaniu zamknąć przesłanie tej książki, wybrałbym to właśnie: „To jest chrześcijaństwo”.

*ks. Adam Boniecki MIC*





# Wstęp

Po sześciu latach pobytu w Sankt Petersburgu wróciłem do Polski i otrzymałem asygnatę (decyzję Ojca Prowincjała) do klasztoru w Ustroniu-Hermanicach. Mijają czterdzieści cztery lata mojego życia zakonnego i trzydzieści pięć lat kapłaństwa. Były to lata nasycone niezwykle wydarzeniami. Nie prowadziłem dziennika, czego bardzo żałuję. Często myślałem o potrzebie robienia jakichś notatek, ale kończyło się to zawsze na dobrych chęciach. Porwany w wir codziennych duszpasterskich zadań – a zawirowania były często nieliczne – nie umiałem zdobyć się na systematyczne robienie notatek.

Obecnie, po powrocie do Polski postanowiłem notować. Nie będzie to klasyczny dziennik, raczej moje wypowiedzenia do wydarzeń i problemów, które z różnych powodów są dla mnie ważne.

Ten mój quasi-dziennik pomyślany jest jako „rejestrator” wydarzeń, które akurat dostrzegłem i które wydały mi się ważne. Ale zazwyczaj wcześniej dostrzegły je różne media. Stąd powołuję się na dzienniki, pisma czy programy telewizyjne.

*3 lipca 1996 r.*



POLSKA,  
OJCZYZNA,  
PAŃSTWO



# Pogrom kielecki

6–7 lipca 1996 r.

„Plus Minus”<sup>\*</sup> przynosi artykuł Danuty Blus-Węgrowskiej *Pod ręką. Historycy wobec pogromu kieleckiego*. Autorka pisze, że do dziś wiele spraw nie jest wyjaśnionych. Prowokacja? Ale ze strony czyjej – KGB? Aby skompromitować „polskie podziemie”? Autorka formułuje własną hipotezę. „Pogrom kielecki wybuchł spontanicznie, spowodowany plotką o zamordowaniu polskiego dziecka i która powtarzana przez ludzi wyolbrzymiała liczbę ofiar aż do 14 dzieci, zakopanych rzekomo w dole z wapnem w domu na Plantach. (...) Plotka trafiła na przygotowany już przed wojną grunt niechęci – czy też wrogości do Żydów, które to uczucia nasiliły się, (...) spotęgowane roszczeniami majątkowymi ocalałych Żydów oraz utożsamianiem Żydów z obcą władzą komunistyczną. (...) Jednakże II faza pogromu została najwyraźniej sprowokowana przez szefa WU BP, Władysława Sobczyńskiego, jego doradcę Szpilewoja i kilku innych (...), szedł bowiem pochód 600 rozjuszonych mężczyzn, którzy mogli ruszyć na ośrodki władzy w mieście, w odwet za strzały milicji do tłumu. Postanowiono więc agresję skierować przeciwko reszcie Żydów”.

---

\* Weekendowy dodatek do dziennika „Rzeczpospolita” (przyj. red.).

Nic nie może usprawiedliwiać zbrodni! Jeśli to nawet prowokacja, to trafiła na podatny grunt. Dlatego zawsze będzie to wstydliva karta.

# Zaufanie i jego konsekwencje

14 lipca 1996 r.

Czytam różne teksty i chciałbym zrozumieć, skąd wzięła się przepaść między prawicą i tym, co się określa jako lewica laicka. „Plus Minus” w kolejnych numerach (z 6–7 i z 13–14 lipca) drukuje gwałtowną polemikę między Stefanem Niesiołowskim (*Tylko Polski mi żal*) i Stefanem Bratkowskim (*Winien ktoś inny*). Jeśli dobrze zrozumiałem Niesiołowskiego, to według niego korzeniem zła, które rozprzestrzeniło się w Polsce, jest Okrągły Stół. Twierdzi, że popełniliśmy straszny błąd. Zamiast dobić (to moje wyrażenie – LW) komunistów, podzielono się z nimi władzą. Mówi Niesiołowski: tu nie może być złudzeń „wystarczy spojrzeć na wypraną z jakichkolwiek poglądów czy autentycznych wzruszeń twarz tow. Kwaśniewskiego, na takich delfinów partyjnego betonu jak Jaskiernia, Miller”. Niesiołowski, reprezentujący polską prawicę, nie ponosi odpowiedzialności za to, co się stało: „To nie ja szukałem współpracy z mitycznym «reformatorskim skrzydłem PZPR», to nie ja oddawałem komunistom kolejne tytuły prasowe, pieniądze, stanowiska i możliwości, aż wreszcie wszyscy zobaczyliśmy bezmiar poniżenia Polski w postaci Aleksandra Kwaśniewskiego w roli prezydenta. (...) To nie prawica gotowa była płacić komunistom za oddanie przez nich tego, czego i tak utrzymać by nie byli w stanie”.

A ja, panie Stefanie Niesiołowski, myślę tak: jeśli zdecydowaliśmy się pokojowo rozpocząć dzieje III Rzeczypospolitej – a wierzę, że zdecydowaliśmy się, a nie byliśmy zmuszeni – więc jeśli zdecydowaliśmy się nie zaczynać od rozstrzeliwania ludzi komunistycznego reżimu, a w najlepszym razie nie od zamykania ich w obozach, to konsekwencją jest potraktowanie dziejów każdego z nich odrębnie.

Konsekwencją jest obdarzenie ich pełną dozą zaufania, ze świadomością, że możemy się zawieść. I być może się zawiedliśmy. Wielu moich znajomych mówi, że byli aparatczycy przystroili się w piórka obrońców ojczyzny i przeobrazili w nauczycieli moralności publicznej. Może i tak. Ale z tego, że taką mieliśmy nadzieję, nie można nikomu czynić wyrzutów. To jest chrześcijaństwo. A ponadto, chyba pan przesadza z tym oddawaniem stanowisk komunistom.

Wydaje mi się, że na słowo „lewica” jest Niesiołowski przeczułony. Podczas swego dwuletniego duszpasterzowania w Krakowie organizowałem Tydzień Społeczny. W 1990 roku zaprosiłem „wszystkich świętych” – tych, którzy coś wtedy w Polsce znaczyli. Był między innymi Jerzy Turowicz, ale był i Niesiołowski. I w pewnym momencie Turowicz z niesmakiem – to było widać – powiedział: „to Niesiołowski wymyślił na nas epitet «katolewica»”.



# Jaruzelski

17 listopada 1996 r.

Arcybiskup Tadeusz Gocłowski 24 października 1996 roku w głównym wydaniu „Wiadomości” powiedział o twórcach stanu wojennego: „zbrodniarze”. Na co odezwał się generał Jaruzelski w specjalnym liście.

Jaruzelski przypomina owocną współpracę z Gocłowskim, mówi o tym, jak to Wyszyński upominał Solidarność, przywołuje Wałęsę, który stwierdził, że Solidarność popełniła wiele błędów, cytuje słowa Konferencji Episkopatu z 25–26 listopada 1981 roku: „kraj znajduje się w obliczu wielu niebezpieczeństw. Przemieszczają się nad nim ciemne chmury grożące bratobójczą walką”. Proponuje wreszcie: „podajmy sobie znak pokoju”.

Nie jestem zwolennikiem tak mocnego słowa, jak „zbrodniarze”. Jednakże moralne rozliczenie (to znaczy nazwanie po imieniu zła i dobra) stanu wojennego jest nieodzowne.

Zasadnicze dla mnie byłoby uznanie za niedopuszczalne zasady „można czynić mniejsze zło, aby uniknąć większego”. Ta zasada jest głęboko niemoralna. Ale chyba generał Jaruzelski nie może tego na razie uznać. Rozumiem tę niemożność: zwyczajnie psychicznie nie może. Dlatego postawiłbym mu kilka pytań i prosił o odpowiedź.

1. Czy był moment, kiedy szczerze uznał, że Solidarność jest szlachetnym zrywem narodu, do którego naród ma prawo, a przywódcy Solidarności nie są kontrewolucjonistami, chuliganami i bandytami, ale szlachetnymi ludźmi?

2. Czy był taki moment, że szczerze starał się dogadać z Solidarnością, uznając w niej motor do odnowy państwa i narodu?

3. Czy porozumienie gdańskie traktował jako coś, czego należy dochować, czy też jako chwilowe ustępstwo, które daje czas na pozbieranie sił, a potem uderzenie?

4. Czy znał i popierał akcje mające na celu poróżnić w Solidarności ludzi, skompromitować ich, rozbić?

5. Nie pytam, czy przygotował plan obrony w razie inwazji sowieckiej, ale pytam – czy obliczał siły, czy obliczał możliwości takiej obrony. Jednym słowem, czy kiedykolwiek brał pod uwagę taką możliwość, że wkraczają Rosjanie, a on razem z narodem broni suwerenności?

6. I wreszcie proszę, niech dokładnie opisz powstawanie planu ogólnego i szczegółowego stanu wojennego.

Sądzę, że jeśli odpowie na te pytania szczerze, a może i ze skrucho – ma szansę przejść do polskiej historii jako człowiek honoru.

# Kisielewski

12 grudnia 1996 r.

Kupiłem „Gazetę Polską”, a tam drukują fragmenty *Dzienników* Stefana Kisielewskiego. Kisiel doskonały jest w opisach małości i głupoty. Zachowywał do wszystkiego dystans i zawsze przejawiał zdrowy rozum. Nie pamiętam, niestety, jak go poznałem. Chyba zwyczajnie poszedłem do niego do domu, aby zaprosić na spotkanie do mego duszpasterstwa. Zdaje się, że trochę się zaprzyjaźniliśmy. Wielokrotnie wyrzucał mi, że zbyt rzadko go odwiedzam. Ale zapoznanie Kisielewskiego z chłopakami z Młodej Polski, zwłaszcza z Aleksandrem Hallem, to moje dzieło.

Kisielewski wielokrotnie przyjeżdżał do mego duszpasterstwa, najpierw w Lublinie, a potem we Wrocławiu. To on, w jakimś sensie, nadał charakterystyczny rys duszpasterstwu w Lublinie. Pamiętam, przyjechał z tematem „Moje wspomnienia polityczne”. I opowiadał, jak to w 1957 roku został posłem i co się potem działo. To swoje opowiadanie okraszał mnóstwem anegdot o politykach partyjnych, żyjących i nieżyjących. A to z kolei wywoływało gromki, spontaniczny śmiech moich studentów. Widziałem, jak ich twarze zmieniały się i od czasu do czasu zastęgały, jakby nie wierząc, że można bezkarnie śmiać się z ludzi partii! Śmiech odblokowuje rozum, trzeźwe myślenie. I to się stało. Lubelskie duszpasterstwo stało się miejscem, w którym nie było tematów tabu i do którego zaczęli ściągać młodzi ludzie samodzielnie myślący.

Ze Stefanem Kisielewskim wiąże sporo różnych wspomnień. Do dzisiaj Marian Piłka opowiada, że picia alkoholu nauczył się w duszpasterstwie ojca Ludwika. Oczywiście to złośliwa (jeśli Marian jest zdolny do złośliwości) przesada, ale było to tak: chciałem Kisielewskiego jakoś ugościć, a wiedząc o jego małej słabości, kupiłem koniak. Ale co z tym dalej zrobić? Uważając, że Piłka jest dojrzałym facetem, wręczyłem mu flaszkę, kazałem częstować pana Stefana i towarzyszyć mu. Był to więc gest zaufania, a ten niewdzięcznik (Marian) wypomina mi to do dzisiejszego dnia.

Kiedys we Wrocławiu, na organizowany przeze mnie Tydzień Społeczny zaprosiłem także Kisielewskiego. Wygłosił odczyt, a później brał udział w wielkiej panelowej dyskusji, przy wypełnionym po brzegi naszym kościele św. Wojciecha. Temat dyskusji brzmiał: „Moralność a polityka”. I oczywiście wypłynęła sprawa „mniejszego zła”. Bardzo gwałtownie zareagowałem na głos Kisielewskiego, który, jak mi się wydawało, był skłonny przyjmować podwójną miarę moralności – jedną dla życia prywatnego, a drugą dla życia publicznego. Ja bowiem od czasu wprowadzenia stanu wojennego zasadę „mniejszego zła” uważam za duże nieszczęście. Nigdy nie można wybierać zła, które jest rzeczywistym złem, niezależnie od tego, czy wydaje nam się, że jest to większe czy mniejsze zło. Dokonane zło jest realne, a to, którego podobno uniknęliśmy, jest wyimaginowane. Nie ma tu żadnej proporcji. Oczywiście, człowiek tak może czynić, ale tego nigdy nie da się usprawiedliwić.

Ale dyskusja na ten temat z Kisielem się nie zakończyła. W nocy, po tej naszej dyskusji, Amerykanie decydują się na wysłanie pocisku na pałac Kadafiego, prezydenta Libii. Na drugi

dzień zjawia się Kisielewski i z miejsca stawia pytanie: mieli prawo Amerykanie tak uczynić, czy nie, słusznie czy niesłusznie postąpili? Wybrali mniejsze zło? Jakoś się wywinąłem od odpowiedzi – odpowiedziałem: nie mam wystarczających danych, aby móc w tej chwili ocenić postępowanie Amerykanów.

Jeszcze może jedno. Kisielewski to cięty język i niewątpliwie bardzo duża inteligencja. Ale charakterystyczną jego cechą było, że nie onieśmiał rozmówcy. Pytał i słuchał. Uważnie słuchał. Niekiedy pytał mnie o zdanie na temat, na którym niewiele się znałem. Wiedziałem, że właśnie on znacznie lepiej ode mnie zna problem. Ale on był ciekaw, jak inni myślą, czekał i słuchał. Sądzę, że to jest cecha naprawdę wielkich inteligencji – umiejętność, a nawet nawyk słuchania. Mali ludzie wszystko wiedzą i bardzo im śpieszno, aby pouczać innych. Wielcy ludzie są skromni i ciągle pragną się uczyć. Jakże mi smutno, że nie byłem nawet na pogrzebie Stefana, przebywałem wtedy w Rosji. Ale staram się zawsze o nim myśleć modlitewnie. I mam nadzieję, że ta „rogata dusza” jest u Boga.

# Profanacja

13 grudnia 1996 r.

Dochodzę do stanowczego wniosku, że część duchowieństwa polskiego oszalała. Niestety, wśród nich są także biskupi. W jednym z kościołów Poznania odbywają się adwentowe rekolekcje dla polskiej Solidarności, które prowadzi biskup Edward Frankowski. Radio Maryja natomiast transmituje na całą Polskę i cały prawie świat jego konferencje. Biskup Frankowski to jeden z najbardziej zasłużonych księży w Polsce. Jego praca jako proboszcza w Stalowej Woli była bardzo odważna i znakomita. On był tym duchownym, który z pomocą pracowników naukowych z KUL stworzył dla ludzi Solidarności coś w rodzaju uniwersytetu, specjalne studium społeczne, i to u siebie, na plebanii. Dużo opowiadał mi o tym wszystkim Adam Stanowski, który bardzo żył tym wszystkim, co się tam dzieje. Adam zresztą był zdaje się twórcą programu tego studium i dobrym duchem całego przedsięwzięcia.

Ja osobiście księdza Frankowskiego nie poznałem, choć wielokrotnie „ocieraliśmy się” o siebie. Wracam jednak do jego rekolekcji.

Wczoraj w nocy słyszałem retransmisję jego konferencji, przynajmniej jej fragmentu, i uderzył mnie zupełnie niesamowity jej ton, więc dzisiaj rano zasiadłem z notatnikiem i bardzo uważnie słuchałem. Na mszy i konferencji (homilii?) był obecny przewodniczący Solidarności Marian Krzaklewski, więc miała ona charakter jakby programowy. Biskup Frankowski postanowił

w tej konferencji globalnie ocenić rzeczywistość, aby pod koniec odwołać się do „programu”, jaki dał Solidarności Ojciec Święty (11 listopada, podczas audiencji).

A zatem najpierw kreśli biskup zadania Kościoła, jakby usprawiedliwiając taką, a nie inną treść swego wystąpienia. Zadaniem Kościoła jest dawać świadectwo prawdzie i „być znakiem sprzeciwu”. Już w tym miejscu trochę się zatrzęsłem. Symeon powiedział o Chrystusie (a my to stosujemy także do Kościoła), że będzie znakiem, „któremu sprzeciwiać się będą”, a nie „znakiem sprzeciwu”, którego podstawowym zadaniem jest sprzeciwiać się. To jest wielka różnica, która pokazuje, jakie są istotne zadania Kościoła. Kościół ma odważnie głosić prawdę o zbawieniu, pamiętając, że jego misja i świadectwo nie zawsze spotka się z ludzkim aplauzem, a często z gwałtownym sprzeciwem.

Drugi wątek to ocena byłych komunistów, tzw. postkomunistów. Zdaje się, że – jak się zorientowałem z nocnej audycji – specjalnie tej sprawie poświęcona była wczorajsza konferencja. Otóż w najostrejszych słowach podkreślał biskup dwa momenty. Pierwszy to ten: komuniści nie uznali zbrodni i krzywd, które wyrządzili narodowi, a wręcz przeciwnie, wszystko zrobili, aby służbę obcemu mocarstwu ubrać w szaty miłości ojczyzny, choć „miłości inaczej”, niż czyniła to opozycja. Drugi moment: perfidnie uwłaszczyli się, najpierw świadomie doprowadzając do ruiny najlepsze przedsiębiorstwa, by później móc je wykupić za bezcen. Wciągnęli zresztą do tego procederu obcy kapitał i rozprzedają narodowy majątek.

Ja także mam wiele zarzutów do byłych komunistów, ale niepokoi mnie w tym wszystkim ton, którego nie umiem pogodzić

z chrześcijaństwem. Gdybym się do tego przyznał publicznie, pewnie okrzyknięto by mnie „korowcem”. Otóż ja myślę tak: jeśli ktoś zawinił w stosunku do mnie, to mam obowiązek umożliwić temu człowiekowi przeproszenie mnie. Mogę jednak tak się zachowywać, że nie ośmieli się on podejść i powiedzieć – zawiniłem w tym i w tym, przepraszam. Jest sprawą pierwszorzędnej wagi, aby po tym wszystkim, cośmy przeżyli w ostatnich pięćdziesięciu latach, zło zostało nazwane po imieniu. Jest też ważne, aby ci, którzy w tym złu aktywnie uczestniczyli, choćby przez pełnienie publicznych funkcji, powiedzieli: to i to jest złem, tak i tak nie można działać. To bardzo ważne, aby takie oczyszczenie nastąpiło. Jednakże kiedy będziemy krzyczyć: złodzieje, bandyci, przestępcy – blokujemy w tych ludziach proces moralnego oczyszczenia. Nie chodzi o to, abyśmy zapomnieli o złu i z góry tych ludzi rozgrzeszyli, ale abyśmy potraktowali ich, niezależnie od tego, co robili, jak braci – bo oni są naszymi braćmi. Zresztą, gdybym miał czarno na białym, że wszyscy z partii Oleksego kradną i są podli, a żywił wątpliwość odnośnie do jednego jedyne go człowieka, że może jednak on jest uczciwy, to wtedy tak globalnie nie wolno byłoby mi potępiać wszystkich. Naiwny jestem? Może.

Trzeci wątek w kazaniu księdza biskupa to ocena prawicy, Solidarności oraz doradców i ekspertów Solidarności. To ciekawe, że ludzi najbliższych ocenia się często najsurowiej i najbardziej niesprawiedliwie. Mam nadzieję, że wiernie spisałem słowa biskupa. Mówił: „Prawicy prawdziwej jeszcze nie było, bo nie było czasu, aby mogła się wykształtować. Przecież ludzie, którzy tworzyli prawdziwą prawicę, wymordowano. Oskarżanie prawicy



i Solidarności to jest sterowana obłuda. Komuniści byli umieszczeni zarówno po lewej, jak i po prawej stronie. (...) Oszustwem komunistów było wstępowanie do Solidarności i ostentacyjne rzucanie legitymacji partyjnych, a następnie stawianie ich na czele ruchu solidarnościowego jako doradców (moja uwaga – a to o kim? czyżby o dyżurnych chłopcach do bicia z Radia Maryja – o Kuroniu i Geremku? Wstyd, księżo biskupie!). Gdy po stanie wojennym część najlepszych wyjechała, byli komuniści nazwali się liberałami, Europejczykami, ekspertami od przekształceń ustrojowych, i jako tacy wcisnęli się na czoło rzekomej prawicy (uwaga moja – a to o kim?). Nie było z prawej strony liczącej się partii, więc namnożyli mnóstwo kanapowych partyjek”.

I zaraz po tym, na tym samym oddechu, ksiądz biskup proklamuje: „Atak na Kościół stanowił temat zastępczy, aby odwracać uwagę społeczeństwa od ciągle nie dokonanych rozliczeń z przestępstwami komunizmu”.

I wreszcie czwarty wątek tego „słowa Bożego” to rządy tzw. solidarnościowe. Mówił ksiądz biskup: „Rząd korowski nie zrobił porządku” (moja refleksja: to chyba o rządzie Mazowieckiego). „Źle pojęta tolerancja, mit powrotu do Europy, nieszczęsna gruba krecha i... za to premiera spotyka klęska” („gruba krecha” jest ulubionym motywem wystąpień biskupa Frankowskiego). Mówił ksiądz biskup dalej: „ci, którzy wspinali się do władzy na grzbiecie ludzi cierpiących, strajkujących, umierających – nie stanęli na wysokości zadania. Stali się niewolnikami swoich prywatnych doktryn politycznych i swoich partyjnych egoizmów, postawili interes własnych partii ponad interes narodu. Także mit liberalizmu, który się nie liczy z dobrem wspólnym,

falszuje jego treść, utożsamia się z sumą egoizmów ścigających się tylko o zysk”.

No cóż. Boję się, że podobne „słowo Boże” popłynie teraz z ambon całego kraju. Boję się, że żaden biskup nie odezwie się, nie powie, że takie głoszenie „słowa” urąga Ewangelii. Boję się, że takie myślenie utrwali się w głowach najgorliwszych katolików.

W kazaniu biskupa Frankowskiego były jeszcze inne wątki, jak choćby ten, że w kraju trwa batalia o takie zdemoralizowanie narodu, aby on sam wybrał niewolę.

Na zakończenie kazania odwołał się biskup Frankowski do przemówienia Ojca Świętego do Solidarności z 11 listopada: „Te rekolekcje są odpowiedzią na program Ojca Świętego dla Solidarności, Polski i całego Narodu”. Te słowa biskupa Frankowskiego przyjmuję jako profanację przemówienia papieskiego. Wybaczcie mi, nie potrafię inaczej. W tamtym przemówieniu jest naprawdę chrześcijański program dla Solidarności i Polski. Biedny Ojciec Święty! Gdyby on wiedział, jak wygląda realizacja jego programu! Ojciec Konrad Hejmo mówił wczoraj, że papież wie o rekolekcjach i cieszy się. Obawiam się nawet, że niektórzy słuchacze przyjmują opinie biskupa Frankowskiego jako opinie papieża. Radio Maryja przygotowuje setki kaset magnetofonowych, aby ten głos „prawdy” dotarł do jak najszerszych kręgów. Już samo to powinno skompromitować to radio. To jest „katolicki głos w twoim domu”? Najbardziej mi żal ludzi ze Stanów Zjednoczonych, do których te rekolekcje za pośrednictwem radia docierają. Kiedy dwa lata temu byłem w Kanadzie, tuż przede mną Kanadę odwiedził Antoni Macierewicz. Szeroko się udzielał. Spotykałem zdezorientowanych i niemal zrozpaczonych ludzi.

Oni cieszyli się, że oto Polska jest znowu niepodległa, a tymczasem Macierewicz, wierzący, dobry katolik (a zatem można mu wierzyć) pouczył ich, że po pierwsze – to wszystko jest lipa, bo w Magdalence dogadał się czerwony z różowym i stworzono program zniszczenia Polski i polskiej kultury; a po drugie – na samym szczycie, bo w pałacu prezydenckim, zasiada człowiek, który jest rosyjskim agentem i służy nie polskim, ale obcym interesom. Paranoja.

# Stan wojenny

13–14 grudnia 1996 r.

Dzisiaj jest rocznica wprowadzenia stanu wojennego. W telewizji wspomnienia i dyskusje – da się, czy nie da się usprawiedliwić tych, co zdecydowali się na ten krok.

Podawano wyniki sondaży wśród ludzi na temat stanu wojennego. Na zadawane pytania wypowiadali się generał Jaruzelski i Lech Wałęsa. Była także dyskusja kilku polityków, wśród których rozpoznałem trzech dość dobrze mi znanych ludzi: Leszka Moczulskiego, Jacka Taylora i Antoniego Macierewicza.

Myślę, że ocena stanu wojennego i wyciągnięcie wniosków na przyszłość jest sprawą życiowej wagi dla naszego narodu. Myślę także, że problem poruszany w tej dyskusji dotyka zasadniczego, cywilizacyjnego problemu współczesnego świata. Niestety, w miarę dyskusji sprawa coraz bardziej się zaciemnia.

Z dyskutantów, których dzisiaj słuchałem, a także których słuchałem przy innych okazjach, choćby w debacie sejmowej – najbliższy mi jest Jacek Taylor. Ale także i on chyba popada w grzech pierworodny całej tej dyskusji. Ten grzech polega na tym, że winę albo jej brak usiłuje się ustalić, penetrując archiwa sowieckie, aby wykryć, jakie były zamiary władców Kremla.

Tymczasem wina i brak winy to kategorie moralne i na tej płaszczyźnie trzeba najpierw sprawy przebadać, a dopiero później wszystko inne. Istotny jest czyn – wprowadzenie stanu wojennego, a wszystko inne, łącznie z intencją polskich generałów, to są

okoliczności: obciążające albo łagodzące. Drugi grzech, w który ten i ów popada, to koncentrowanie się na próbie ustalenia, czy wprowadzenie stanu wojennego było zgodne czy niezgodne z konstytucją. To oczywiście jest sprawa ważna i da się ją ustalić (choć jak dotąd tego nie zrobiono), ale to jeszcze nie ukaże nam wymiaru moralnego całej sprawy.

Najpierw więc trzeba sprawę rozważyć na płaszczyźnie moralnej. Jednakże nie jest to takie proste. Aby osąd moralny zadziałał, musi być konsensus w dwu sprawach. Po pierwsze, musi być zgoda, że istnieje dobro i zło obiektywne i subiektywne. Ktoś może czynić obiektywne zło, ale subiektywnie jest przekonany, że postępuje słusznie, bo jest niedoinformowany, zastraszony, zniewolony, przekonany o dziejowej konieczności (ukąszenie heglowskie). Myślę, że jest to przypadek wielu ludzi biorących w czasach komunistycznych udział w tzw. wyborach, które były manipulacją i kłamstwem. Być może jest to także przypadek niektórych ludzi uczestniczących czynnie w strukturach władzy. Ich subiektywne przekonania nie sprawiają jednak, że czyn jest moralnie dobry. Generalnie – jak sądzę – należy suponować, że ludzie byli „zaczadzeni”, „umysłowo zniewoleni”, jak mówi Miłosz i uczestnicząc w obiektywnie złej sprawie, nie chcieli działać na szkodę narodu, a nawet czasem wydawało im się, że swoim pokrętnym działaniem mu służą. Sądzę, że generał Jaruzelski mógł naprawdę sądzić, że wprowadzając stan wojenny, służy krajowi. Kiedy mówi, że działał z „wyższej konieczności”, to niekoniecznie trzeba mu zarzucać kłamstwo, choć może tę swoją prawdę upiększać i dramatyzować. To rozróżnienie dobra obiektywnego od subiektywnego pozwala nazwać stan wojenny zbrodnią, choć

samego generała Jaruzelskiego nie pozwala nazwać zbrodniarzem. Jest on także w jakimś sensie ofiarą zbrodniczego systemu.

Druga sprawa, która do pełnej oceny moralnej wprowadzenia stanu wojennego jest niezbędna, jest jeszcze trudniejsza od pierwszej. Chodzi o konsensus, że nigdy nie można budować dobra, czyniąc zło (cel nie uświęca środków), a także, że nigdy nie można siebie lub innych chronić przed złem, czyniąc zło. Jednym słowem, chodzi o odrzucenie zasady „mniejszego zła”, która głosi, że można zgodzić się, a nawet realnie czynić mniejsze zło dla uniknięcia większego. Od wielu lat walczę z tą zasadą, ale ona ciągle egzystuje w pojęciach ludzi. Być może zawinił tutaj język. Dlatego trzeba pracować na przykładach. A najlepszym przykładem jest sytuacja opisana w Ewangelii: uzasadnienie wyroku śmierci na Jezusa przywódcy żydowski znaleźli właśnie w tej zasadzie. Stwierdzając, słusznie czy niesłusznie, że Jezus uważa się za króla, dostrzegają w tym niebezpieczeństwo dla całego narodu: „lepiej żeby jeden umarł, niż cały naród miał ucierpieć”. Jezus jest niewinny, o czym wszyscy dobrze wiedzą, ale Jego śmierć wydaje się mniejszym złem... bo przyjdą Rzymianie.

Bardzo podobną sytuację mamy podczas stanu wojennego. Ludzie zamykani do więzień nie są niczemu winni, ale lepiej ich zamknąć, bo przyjdą... Rzymianie. Chyba to samo miało miejsce przy organizowaniu sowieckich łagrów. Tym, którzy je urządzali, wydawało się, że to jest mniejsze zło.

Jak bardzo trudna jest ta sprawa, pokazują powojenne dzieje polskiego Kościoła. Otóż po aresztowaniu prymasa Wyszyńskiego zebrano biskupów i przedstawiono im alternatywę: albo zaakceptują „odsunięcie” (taki eufemizm: nie aresztowanie, ale

„odsunięcie”) Prymasa, albo wszyscy zostaną uwięzieni i rozwiązane zostaną seminaria duchowne. I wtedy biskupi, znalazłszy się pod takim „pistoletem”, zdecydowali się czyn komunistów zaakceptować. Wybrali „mniejsze zło”. Napisali nawet haniebny komunikat do wiernych, a SB pilnowało, aby księży go odczytywali. Cóż to był za dramat! Wielu księży, nie chcąc narażać się na represje, odczytywało ten komunikat bełkotliwym głosem, wyłączając mikrofon, aby wierni nie zorientowali się, o co chodzi.

Spośród ówczesnych rządców diecezji tylko jeden nie dał swej zgody na ten akt bezprawia, a był to prałat Wojciech Zink, administrator apostolski w Olsztynie. Dlatego prymas Wyszyński mówił potem: „bronіło mnie tylko dwóch, mój pies Baca (tak zdaje się wabił się pies, który przy aresztowaniu Prymasa porwał nogawkę oficerowi SB) i Niemiec – prałat Zink”. Ale to była lekcja! Bolesna, ale lekcja. Z czasem okazało się zresztą, że nie było planu aresztowania biskupów i wszystkie te groźby były jedynie straszakiem.

Oczywiście nie można zestawiać czynu biskupów z czynem generała. Biskupi nikogo nie więzili i wobec nikogo nie używali przemocy. Ale lekcja jest wiecznie ważna: nigdy nie wolno nie tylko czynić, ale nawet zgodzić się na oczywiste zło, oczywistą nieprawość, i to niezależnie od tego, jak wielkie zło i jak wielkie nieszczęście rysowane jest jako alternatywa. To wielkie, „większe” zło jest zawsze wydumane, podczas gdy tzw. mniejsze zło jest realne.

Ten wniosek dotyczy także proklamowania stanu wojennego. Mogli autorzy stanu wojennego czuć się zagubieni, postawieni nawet pod lufą karabinu. Ale tak czynić nie wolno. Nie wolno

dla żadnych celów i w żadnych okolicznościach decydować się na „nagie zło”. Bo przecież to zło było nagie – zadekretowano uwięzienie absolutnie niewinnych ludzi, zdecydowano się na zabicie nadziei i entuzjazmu narodu (a nadzieja i entuzjazm są żywotną siłą człowieka), zdecydowano się nawet na zabijanie, kiedy opór okazałby się stanowczy.

W dyskusjach, które dzisiaj się przewijały, pytano o naukę, jaka wypływa ze stanu wojennego. Według mnie nauka jest jedna: odrzucenie zasady mniejszego zła. Nigdy więcej Berezy, stanów wojennych, gułagów. To ważne, aby tak publicznie powiedzieć. Może przecież znaleźć się w przyszłości jakiś wódz, który zechce narodowi zafundować nowe „mniejsze zło”.

I dopiero teraz, po rozpatrzeniu stanu wojennego od strony moralnej, można i trzeba rozważyć różne okoliczności: była czy nie było woli uszanowania gdańskich porozumień, były czy nie było różnego rodzaju prowokacji mających uzasadnić twierdzenie, że krajowi grozi anarchia i wojna domowa; przygotowywała się Solidarność, czy nie przygotowywała do siłowych rozwiązań; słano do Moskwy, czy nie słano próśb o to, aby straszili polskie społeczeństwo; była czy nie było decyzji wkroczenia „sojuszników” do naszego kraju. Oczywiście, trzeba także wziąć pod uwagę późniejsze zachowanie się autorów stanu wojennego. Trzeba też rozważyć skutki stanu wojennego – zniszczenia gospodarcze i ogromne zniszczenia w duszy narodu. Ja uważam, że rozbitcie społeczeństwa i rozniecenie nienawiści ma swoje źródła właśnie tam.

Osobiście z pewnym wyrozumieniem patrzę na generała Jaruzelskiego. Nie chciałbym, aby znalazł się w więzieniu. Myślę,



że on sam stał się ofiarą komunistycznego systemu. Myślę, że nie jest mu łatwo. Sądzę jednak, że po męsku powinien uznać swój błąd – być może niezawiniony. Miał jednak w tamtym czasie szereg możliwości godnego zachowania się, jestem o tym przekonany. Jeśli chce zapisać się w historii jako postać pozytywna, nie powinien obecnie przywdziewać stroju zbawcy narodu ani samemu podejmować obrony swojego postępku; niech raczej czynią to inni. On natomiast powinien narodowi powiedzieć mniej więcej tak: Byłem zaczadzony. Wydawało mi się, że mogę postąpić tylko tak, jak postąpiłem. Nie kierowały mną niskie pobudki. Dzisiaj jednak widzę, jak ciasne było wtedy moje myślenie. Przestrzegam przyszłe pokolenia przed kierowaniem się zasadą mniejszego zła. Za zło, które uczyniłem, przepraszam mój naród.

# Aborcja i prawo

27 grudnia 1996 r.

Na początku listopada Jacek Kuroń opublikował w „Gazecie Wyborczej” artykuł *Ewangelia czy kodeks karny*. Polemizował z nim Jarosław Gowin, potem pisał o tym wszystkim Andrzej Romanowski. Spotkałem Danę, dawniej Winiarską, a obecnie Kuroń, i powiedziałem jej, że ja zupełnie Jacka nie rozumiem. Dana przejęła się i w numerze świątecznym „Tygodnika Powszechnego” jest jej artykuł tłumaczący po swoim stanowisko Jacka. Obok niego jest swoisty komentarz księdza Tischnera. Podsumowując, ująłbym to wszystko w kilku punktach:

1. Okazuje się, że jeden i ten sam człowiek może głosować za liberalizacją prawa do przerywania ciąży i zarazem być autentycznym przeciwnikiem aborcji. Można nie podzielać takiego stanowiska, tak jak ja nie podzielam, ale ten fakt trzeba uznać. Jacek Kuroń nie odgrywa tutaj teatru. Daje świadectwo swego myślenia, zdając sobie sprawę, że będzie za to opluty. Trzeba się nad tym zadumać i trzeba z tego wyciągnąć wnioski. Z wielu stron słyszę, że ludzie głosujący za zliberalizowanym prawem to ludzie bez sumienia i wrogowie pragnący zniszczyć naród polski. Otóż, jeśli tylko jeden wśród nich myślałby tak jak Kuroń, to nie można wszystkich tych ludzi nazywać wrogami narodu i odsądzać ich od czci i wiary. Nigdy i nikogo nie można odsądzać od czci i wiary. Niektórych wielkich bojowników „o świętą sprawę” trzeba by wysłać na naukę katechizmu.

2. Jacek podnosi sprawę, którą rozumiem i w pełni podzielam jego stanowisko. Świętej sprawy obrony życia nie da się załatwić kodeksem karnym – uchwalić zakaz i pójść spokojnie spać. Nieposzanowanie życia jeszcze nie narodzonych ukazuje, że przeżywamy jakiś wielki kryzys człowieczeństwa. Kuroń o kryzysie nie mówi, ale ja tak rozumiem jego myśl. Dlatego potrzeba po pierwsze wykazać realną troskę o macierzyństwo, postawić do dyspozycji kobiety-matki środki: materialne, moralne itd. W tym kierunku szedł Andrzej Wielowieyski, proponując powołanie zespołów, przed którymi matka niechcąca rodzić miałaby obowiązek stawać. W swoich listach otwartych do posłów poszedłem jeszcze dalej. I po drugie, potrzebna jest jakaś wielka, wielkoduszna i braterska akcja wychowawcza społeczeństwa.

3. Dla mnie niezwykle intrygujące jest, gdzie jest źródło takiego stanowiska. Jacek uważa, że aborcja jest złem, że Kościół ma prawo i obowiązek to zło ukazywać, ale nie powinno się zakazów wpisywać do państwowego prawa. Dlaczego? Mamy tu dwie rzeczywistości, które według Jacka nie są do pogodzenia. Z jednej strony jest Chrystus i Ewangelia, a z drugiej strony państwo i prawo z sankcjami karnymi. Państwo to aparat przemocy, w który z istoty rzeczy nie da się wpisać tego, co wypływa z ewangelicznej miłości. Ten aparat przemocy można jakoś humanizować, a humanizuje się tak, że przemoc ogranicza się do minimum.

A ja sobie myślę tak: tego, co wynika jedynie z ewangelicznej miłości, rzeczywiście nie da się wpisać do państwa prawa. Lecz postulat obrony jeszcze nie narodzonych, ale już ludzi, nie wynika jedynie z Ewangelii, wynika on także z podstawowych

obowiązków państwa. Przecież zadaniem państwa jest zapewnienie bezpieczeństwa wszystkim obywatelom, zwłaszcza najuboższym i najmniejszym. Sprawa jest szczególnie delikatna, bo chodzi o istoty ludzkie najbardziej bezbronne. Ta sytuacja to jakby soczewka, w której widać współczesny kryzys cywilizacyjny. Rozmijam się z myślą Jacka, bo on chyba uważa, że tu wystarcza Ewangelia, a państwowym prawodawcom wara od tego problemu. A ja twierdzę, że w tej sprawie niezbędna jest Ewangelia, ale także niezbędne jest państwowe prawo, czerpiące moc z prawa naturalnego.

4. I wreszcie – nie daj Boże, aby w przyszłym sejmie temat znowu został sprowadzony tylko do zakazu aborcji. Trzeba wreszcie stworzyć ustawę naprawdę promującą macierzyństwo i nienarodzonego człowieka.

# Bronić przed nienawiścią

6 stycznia 1997 r.

W „Plusie Minusie” na ostatniej stronie Stefan Bratkowski publikuje tekst *Kiedy ludzie rośli*. Bardzo dobry tekst. Bratkowski pisze głównie o księdzu Jerzym Popiełuszcze, ale jego rolę pokazuje w określonym kontekście. Mówi, że dzisiaj wielu tych, których razą pewna agresywność chłopców z Ligi Republikańskiej, jakby zapomina o tym, co się działo w tamtych minionych latach. Jak „łomotano” młodych i w gruncie rzeczy prowokowano, nie tylko do nienawiści, ale i do zrywu zbrojnego. Wskazuje na to analiza zachowania się władzy, analiza tego, co zrobiono z Przemyskiem, z zamordowanymi księżmi i z samym księdzem Jerzym. A jednak nie poszliśmy na zabijanie. „Na szczęście, do tej bitej, prowokowanej młodzieży – zakatowanie Grzesia Przemyska sygnalizowało zamiar – docierali ze swoją mądrością unikania przemocy nasz Jurek i Jego Koledzy. Tylko Oni. Bo tylko Oni byli wiarygodni. Nikt z opinią trzęsiportka i lawiranta nie mógłby odprawiać Mszy za Ojczyznę i mówić serio o zwyciężaniu zła dobrem, bo nie wzięliby go na serio oni właśnie – ci, których po to bito, aby zabijali”.

Eh, napisał Bratkowski coś bardzo ważnego i gdyby nie obawa, że ktoś pomyśli: „gdzie konia kują, tam koza nadstawia łapę”, dodałbym trochę. Może i dodam, ale bardzo nie chciałbym przeceniać tego, co sam robiłem. W moim życiorysie decydujący był

rok 1970. Przeżyłem go w Gdańsku. Byłem świadkiem prawie wszystkiego, co miało miejsce na ulicach.

W trakcie wypadków, a potem już po ich zakończeniu, byłem świadkiem nienawiści. Podobno jakiś milicjant zawisnął w Zielonej Bramie (może to plotka, nie sprawdzałem), były próby samosądów. Widziałem w oczach ludzi nienawiść. I wtedy sobie powiedziałem, i do tego wielokrotnie powracałem: jeśli warto przed czymś ludzi bronić, to bronić przed nienawiścią. To był podstawowy motyw włączenia się w nurt wydarzeń, który zwłaszcza po roku 1976 przybrał widoczną formę. Drugim motywem było poczucie, że powinienem być z ludźmi, którzy się narażają, zwłaszcza jeśli to są studenci, za których niosę odpowiedzialność.

Po ogłoszeniu stanu wojennego, już kiedy byłem we Wrocławiu, bardzo wiele razy i w różnych miejscach wygłaszałem konferencje o walce bez przemocy. Przekonałem się do tego jeszcze w czasach lubelskich, zainspirowany głównie przez Adama Stanowskiego. Ach, ten Adam, ilu on ludzi ukierunkował! Właśnie dlatego, aby pokazać bardziej konkretnie metodę tej walki, stanąłem kiedyś, razem z profesorem Marianem Suskim, Andrzejem Falkiewiczem, Tomaszem Wójcikiem i Romualdem Siepsiakiem na publicznym placu, domagając się uwolnienia Frasyniuka. Frasyniuk to odrębna historia. W moim przekonaniu Wrocław zbyt mało robił dla jego uwolnienia. A on wtedy był kimś wyjątkowym. Kiedy go aresztowano, ludzie płakali jak dzieci. Wszystkie starsze panie uważały go wtedy jakby za swego syna.

Ma więc rację Bratkowski, kiedy pisze o robieniu wszystkiego, aby nie doszło do krwawej rozprawy. Jednakże w moim

przekonaniu podstawową rolę odegrał tu nie jakiś ksiądz, ale Ojciec Święty. Gdzieś „z tyłu głowy” mieli wszyscy wypisane, że nie wolno niczego zrobić, z powodu czego On by się wstydził. Więcej jeszcze, wszyscy podświadomie wiedzieli, że wobec świata całą tę walkę w Polsce uwiarygodnia – On. I wiedzieli wszyscy, że gdyby On przestał się utożsamiać z tą walką – nastąpiłaby przegrana.